

Janusz Leon

# WIŚNIEWSKI

LOS POWTÓRZONY  
opowiadanie



Prószyński i S-ka

Janusz L. Wiśniewski

Los powtórzony

(opowiadanie)

2004

TMN

- Bo Marcinowa zawsze robiła coś w poprzek. Nawet po śmierci. - Staruszka w haftowanej chuście na głowie zaśmiała się głośno, sięgając po kieliszek. Wypiła do dna i postawiła kieliszek przed swoje talerze, obok szklanki w metalowym koszyczku, by wszyscy zauważyli, że jest pusty. Po chwili zwróciła się do Marcina siedzącego naprzeciwko niej przy dużym eliptycznym drewnianym stole:

- Nalejesz mi jeszcze jednego? Bo mi tak smutno jest.

Wstał natychmiast z miejsca i podszedł z butelką wódki w jednej ręce i własnym kieliszkiem w drugiej.

- Pewnie, pani Siekierkowa, pewnie, że naleję.

Nalał staruszce i sobie, podał jej kieliszek do ręki.

Spojrzała na niego zamyślona i powiedziała:

- Samżeś teraz został, Marcinku, sam jak ten palec.

Stara Siekierkowa...

Nikt nie nazywał jej inaczej. Sama też tak się czasami przedstawiała. Niektórzy we wsi twierdzili nawet, że „Siekierkowa była stara tuż po urodzeniu i zaraz po urodzeniu paliła papierosy”. To była oczywiście nieprawda rozprowadana przez pijanych górali z gospody. Nikt nie wiedział, kiedy i gdzie Siekierkowa się urodziła. Jedni twierdzili, że w Krakowie, inni, że w Wilnie, a jeszcze inni, że na Syberii. Ale pewności nie miał nikt. Tak samo jak z tymi papierosami. Siekierkowa po prostu była w Biczycach zawsze i paliła też zawsze. Mieszkała w starej chałupie na wzgórzu pod lasem, gdzie rok temu postawili maszt z parabolicznymi antenami, dzięki którym w Biczycach działały telefony komórkowe. W gospodzie mężczyźni opowiadali, że Skiekierkowa wcale nie protestowała przeciwko temu „słupowi z telefonami” na jej podwórku. Któregoś dnia latem podjechał pod jej chałupę elegancki samochód z Krakowa i miesiąc później postawili ten maszt. Siekierkowa ponoć tylko zapytała, czy w studni „woda nie skwaśnieje od tych telefonów”. Gdy młody mężczyzna w garniturze i krawacie, który wysiadł z tego samochodu, powiedział, że „wodzie w pani studni oczywiście w żadnym wypadku nic się nie

stanie”, a na dodatek postawią jej nowy płot i wyasfaltują drogę do jej zagrody, bez wahania się zgodziła. Chociaż w gospodzie i pod kościołem opowiadają, że „stara Siekierkowa sprzedała telefonom pół swojego podwórka za dwa kartony popularnych”, to tak naprawdę głównie chodziło jej o ten asfalt, ponieważ po wiosennych roztopach nawet do ubikacji w podwórzu musiała chodzić w gumiakach. Od tego czasu Siekierkowa ma, jedyna we wsi, studnię, pomalowany na błękitno nowy płot wokół zagrody i asfaltową ścieżkę prowadzącą przez podwórze do masztu. I dzięki Siekierkowej wieś ma GSM. Gdy patrzy się w kierunku chałupy Siekierkowej z brzegu Dunajca, ma się wrażenie, że ten maszt stoi pomiędzy dwoma starymi rozłożystymi dębami, których korony sięgają linii Tatr. Niektórzy twierdzą, że w Biczycach najpierw były te dęby, a zaraz potem pojawiła się tam Siekierkowa.

Stara Siekierkowa znała Marcinową „od początku”. To znaczy od momentu, gdy ją, noworodka, czwartą córkę Janasowej, obmyła w wielkiej miednicy z przegotowaną wodą. Bo Siekierkowa przyjmowała prawie wszystkie porody w Biczycach. Kiedyś człowiek rodził się w Biczycach i umierał w Biczycach, a do szpitala do Sącza jeździło się ze ślepą kiszka lub wtedy, gdy na suchoty nie pomagały bańki i smarowanie piersi smalcem z jagnięcia, a pluło się krwią dłużej niż dwa dni.

Potem, jeszcze przed wojną, Siekierkowa śpiewała „Ave Maria” w kościelnym chórze na ślubie Marcinowej. W tym samym kościele była przy chrztach jej sześciu synów. Jeden z nich umarł kilka tygodni później. Maciej. Ostatni przed Marcinem. Marcin był najmłodszy. Gdy się urodził, Marcinowa płakała. I wcale nie dlatego, że wydała na świat obciążony żółtawą skórą mały brzydki szkielecik wiszący pod ogromną, łysą, pofałdowaną głową. Płakała głównie dlatego, że znowu urodziła syna. Chociaż dawała przez całą ciążę na tacę, zmawiała różaniec i w tajemnicy przed mężem trzymała obrazek Matki Boskiej pod poduszką. Aby tylko była córka.

Nikt nie wie od kiedy, ale we wsi nazywali zmarłą „Marcinowa”. Nie tak jak inne starsze kobiety we wsi po ich mężach, ale po synu. I to najmłodszym z całej szóstki. Nawet ksiądz, zamykając trumnę stojącą na kamieniach w sypialni chałupy, w której mieszkała już przed wojną, powiedział: „Żegnaj, Marcinowa”. Synowie wynieśli trumnę do samochodu stojącego przed bramą, stanęli na czele konduktu i ruszyli na górę do małego kościoła z cmentarzem. Przy ładnej pogodzie z cmentarza widać było góry. Matka, gdy jeszcze mogła chodzić, zawsze po niedzielnej mszy brała ich na cmentarz i pokazywała góry. Z tego miejsca przy krzyżu, tuż za dziecięcymi grobami, góry wyglądały najpiękniej. W nocy przed pogrzebem spadł świeży śnieg. Było bardzo ślisko. Drogi do kościoła nie odśnieżali nigdy, bo Biczycze leżały za daleko od Nowego Sącza, „aby się opłacało wysłać piaskarkę”, jak to powiedzieli kiedyś w ratuszu w Nowym Sączu. Za zakrętem, przy sadzie Walczaków, gdzie stromizna była największa, samochód z trumną zaczął nagle osuwać się w dół. Kierowca dodał gazu i samochód stanął w poprzek drogi. Mężczyźni z konduktu położyli wieńce i kwiaty z szarfami na ośnieżonej drodze i rzucili się do samochodu. Najpierw ustawili go prosto na osi jezdni, a potem przez kilkanaście metrów pchali pod górę. Po chwili stromizna zmniejszyła się i samochód z trumną powoli ruszył w górę. To ten incydent miała na myśli stara Siekierkowa, mówiąc, że nawet po śmierci „Marcinowa robiła w poprzek”.

Marcin po raz pierwszy tak naprawdę zrozumiał, że został sam, po tym jak grabarze usypali już mogiłę z żółtego brudnego piachu i wbili emaliowaną tablicę z krzyżem, imieniem, którego nikt od lat nie używał, i datą jej śmierci. Szesnasty grudnia.

Szesnasty, środa, trzy dni temu. Jak zwykle wstał wcześnie, wyjął masło z lodówki, aby trochę zmiękło, i poszedł do piwnicy po węgiel i drewno na rozpałkę. Gdy wszystko do śniadania było przygotowane, z drewnianą tacą poszedł do sypialni, do matki. Jak każdego ranka. Od ośmiu lat. Od ośmiu lat jedli razem śniadanie, a potem czesał jej włosy.

Tego dnia zastał ją martwą.

Osiem lat temu miała wylew. Poszła siał na pole przed chałupą. Nigdy nie zapomni, ma ten obraz wyryty w mózgu jeszcze w dzieciństwie - matka idzie między skibami ich małego pola i sieje. Z chustką na głowie, z wiadrem ziarna wiszącym u łokcia, w fartuchu, który prała co wieczór. Rozsypywała to ziarno z jakąś taką dumą, uroczyście, dostojnie, patrząc na góry. Już jako mały chłopiec lubił na to patrzeć, stojąc przed domem.

Tamtego dnia, osiem lat temu, nie dane mu było na to patrzeć, los chciał inaczej. Wezwali go do Piwnicznej. Wyszedł bez pożegnania, wsiadł na motocykl i pojechał. Wrócił około czwartej po południu. Matka leżała na polu twarzą w rozsypanym ziarnie. Lekarze powiedzieli, że przy wylewie trzeba „natychmiast przywozić, nawet traktorem albo koniem”. Ale jego przecież nie było tego dnia, bo zdarzyła się ta idiotyczna awaria transformatora w Piwnicznej.

- A innych dzieci matka nie ma? - spytała zaczepnie gruba pielęgniarka.

- Ma - odpowiedział cicho. - Ale wszyscy się rozjechali po Polsce.

\* \* \*

Tylko najstarszy syn Marcinowej, Piotr, mieszkał blisko Biczyc, w Nowym Sączu. Pracował jako listonosz. Od kiedy owdowiał, rzadko przyjeżdżał do matki. Już częściej był tam jego syn Szymon. I to nie po to, aby odwiedzić babcię, ale żeby pożyczyć od wujka Marcina motocykl i wozić dziewczyny drogą od gospody do masztu na podwórku Siekierkowej. Reszta braci rozjechała się po Polsce.

Czasami przychodziły od nich listy, kartki z pozdrowieniami z urlopów lub świąteczne życzenia. Do Biczyc przyjeżdżali tylko w drodze do Zakopanego na narty lub - jeśli znaleźli czas - by uczestniczyć w pierwszej komunii albo ślubie dzieci ich przyjaciół z dzieciństwa. Ostatnio także na pogrzeby tych przyjaciół. Adam, który zaczął, ale nigdy nie ukończył studiów rolniczych w Olsztynie i miał przejąć gospodarstwo rodziców, bywał w Biczycach najrzadziej ze wszystkich. Mieszkał najpierw we Wrocławiu, a od kilku lat w Łodzi. W czasie studiów ożenił się z dziewczyną z Wrocławia, zaraz potem wyjechał przez Austrię do Kanady i

śluch po nim zaginął. Marcinowa jeździła do synowej do Wrocławia i uspokajała ją - „Adaś to przecież dobry chłopak, na pewno wróci”. Wrócił. Po czterech latach. Z nową kobietą i dzieckiem tej kobiety. Po rozwodzie przeniósł się z nią do Łodzi, gdzie najpierw otworzył sklep z ekskluzywną biżuterią na Piotrkowskiej, a później dwie firmy ochroniarskie; zatrudniał głównie byłych milicjantów, którzy nie mogli odnaleźć się w nowej policyjnej rzeczywistości.

Andrzej, starszy od Adama o pięć lat, nie znosił go i nawet w czasie rzadkich wizyt u matki w Biczycach - choć wiedział, jaką wyrządza jej tym przykrość - nie potrafił tego ukryć. Pracowity, ambitny i czasami aż do dziwactwa uczciwy, gardził wszelkim cwaniactwem i kombinatorstwem. Adama traktował jak kogoś, kto dla pieniędzy gotowy jest zdradzić swoje ideały, a nawet sprzedać lub zastawić własną rodzinę. Czasami, najczęściej sprowokowany przez Adama, wybuchał i wyrzucał z siebie całą pogardę, jaką czuł do niego. Nie powstrzymywały go przed tym ani prośby, ani płacz matki. Adam twierdził, że Andrzej chorobliwie zazdrości mu bogactwa. Jego nowych samochodów, domów budowanych na Helu i na Mazurach, a nawet jego opalenizny z wakacji. A że sam „ten utytułowany, strasznie ważny profesorek uniwersytetu” mieszka z rodziną w blokowisku ze śmierdzącą klatką schodową na peryferiach Gdańska, z tej zawiści i poczucia życiowej porażki dobudowuje sobie filozofię, która jego, „poważnego, uczciwego i cenionego nie tylko w Łodzi biznesmena”, umieszcza pośród mafii i ciemnych interesów. To była oczywiście nieprawda, Andrzej bowiem zazdrościł ludziom tak naprawdę tylko tego, że mają od niego więcej książek i więcej czasu na ich czytanie.

- Więc tobie z pewnością niczego nie zazdroszczę, bo ty miałeś w życiu więcej samochodów, niż przeczytałeś książek - kończył dyskusję z bratem i bez pożegnania wychodził, trzaskał drzwiami, aż cała chałupa drżała, wsiadał do swojej starej zdezelowanej skody i przez całą Polskę wracał z żoną i córką do Gdańska. Na drugi dzień dzwonił i przeproszał matkę, że się znowu niepotrzebnie uniósł i to się już nigdy nie powtórzy.

Ale to „nigdy” trwało tylko do następnego spotkania. Nie pomagało nawet to, że Stanisław - najspokojniejszy z synów Marcinowej - za każdym razem prosił i zobowiązywał oddzielnie i Adama, i Andrzeja, aby darowali sobie kłótnie w domu matki i chociaż przez te kilkanaście godzin „nie powtarzali tego, co i tak wszyscy już znają na pamięć”. Stanisław przyjeżdżał do Biczyc z trzema córkami i żoną, która przywoziła ze sobą dla „babci Marcinowej i Marcinka” cały bagażnik wypieków i kilogramy wędzonego węgorka od rybaków z Giżycka. Stasieniek, jak nazywała go matka, był przy tym tak dumny, jak gdyby to on sam własnoręcznie złowił te węgorki lub sam piekł te makowce, serniki i drożdżówki. Stasiu, najbardziej postawny z pięciu synów Marcinowej, absolwent szkoły oficerskiej w Toruniu, na co dzień podpułkownik i dowódca w jednostce wojskowej w Giżycku, przyjeżdżał do matki i do brata, do Biczyc, zawsze na kilka dni. Uśmiechnięty, radosny i zadowolony, traktował te wizyty jak powrót do świata najpiękniejszych wspomnień. Wieczorami, gdy napalili pod kuchnią i pachniało barszczem i kapustą do pierogów, Stasiek zapalał papierosa, sadzał córki i żonę na drewnianych zydlach wokół babci Marcinowej i prosił ją, aby opowiadała, jak to kiedyś, gdy on był jeszcze małym chłopcem, żyło się w Biczycach, a marzyło o tym, by pojechać gdzieś bardzo, bardzo daleko. Na przykład do Nowego Sącza na odpust. Babcia Marcinowa opowiadała te historie już wiele razy, wnuczki i synowa znały je prawie na pamięć, ale to nie przeszkadzało słuchaniu ich z zaciekawieniem po raz kolejny. Jak to „Stasiu musiał dostawać zawsze nowe buty, bo miał tak duże stopy, że buty po Adasiu były dla niego za małe”. I jak to szedł na bosaka pod górę, buty niósł przewieszane na kiju przez ramię, aby je włożyć tuż przed wejściem do kościoła.

\* \* \*

- Czy ma pan w tych Biczycach jakiś telefon, gdyby coś się stało? - Z zamyślenia wyrwał go głos grubej pielęgniarki. - Gdyby ona... No wie pan, nigdy nic nie wiadomo... w tym wieku...



Matka nie umarła. Po miesiącu późnym wieczorem podjechała pod dom karetka i on razem z sanitariuszem przenieśli matkę na rękach do sypialni. Już stamtąd nigdy nie wyszła o własnych siłach. Afazja i kłopoty z mówieniem minęły po pół roku, ale paraliż nie minął nigdy. Mogła ruszać tylko głową i lewą ręką.

Zmienił pracę. Z szefa działu zabezpieczeń zakładów energetycznych - on, inżynier po gliwickiej politechnice - po znajomości załatwił sobie etat dyrektora administracyjnego w muzeum w Nowym Sączu. Tylko przy takiej pracy mógł mieszkać w Biczycach, opiekować się matką i być rolnikiem jednocześnie.

Wspominał to wszystko, stojąc przy jej grobie. Gdy ksiądz z ministrantami odeszli od mogiły i złożono już kondolencje, wszyscy rozproszyli się cicho i schodzili powoli po zasypanej świeżym śniegiem drodze, prowadzeni przez jego braci na dół do ich domu, gdzie miała odbyć się stypa. Najpierw przez krótką chwilę szedł za innymi, ale tuż za bramą prowadzącą do kościoła coś popchnęło go, aby wrócić do jej grobu i chwilę tam jeszcze być z nią. We dwoje. Tak jak zawsze od ośmiu lat.

Przestraszyła go. Nie słyszał, jak podchodziła. Karolina, najstarsza córka Stasia. Pierwsza wnuczka „babci Marcinowej”. Ta z tymi „ogromnymi oczami jak jeziora” - tak mówiła babcia. Wzięła go pod rękę, oparła mu głowę na ramieniu i powiedziała:

- Wujku, przyjedź kiedyś do mnie. Mam mieszkanie w Warszawie. Pójdziemy na wyścigi. Przecież mi mówiłeś, że zawsze chciałeś postawić na jakiegoś konia i patrzeć, który dobiegnie. Tutaj jest moja wizytówka. - Wepchnęła mu kartonik do ręki. - Wujku, zadzwoń albo napisz do mnie e-mail. A teraz już chodź do domu. Oni tam na dole nie zaczną nic bez ciebie. Nawet herbaty nie potrafią w twojej kuchni ugotować. Chodź. Dosyć już byłeś tylko dla babci...

Znalazł jej dłoń i uściśnął mocno. Odwrócił głowę tak, aby nie mogła dostrzec jego łez, i odczekał chwilę, by uspokoić łkanie. Rzekł cicho:

- Przyjadę, Karolinko. Na wiosnę. Postawię grób babci, posadzę kwiaty... i potem przyjadę. Będę miał teraz dużo czasu. Przyjadę na pewno.

Zerknął na wizytówkę, wyjął portfel i schował ją pomiędzy kartki pogniecionego dowodu osobistego.

- Zaraz pójdziemy.

Puścił jej dłoń, przyklęknął, rozsunął wieńce i dotknął ręką plamy żółtego piasku w usypanej mogile. Chwilę potem wolno schodzili przykrytą świeżym śniegiem drogą. Zapadał zmrok. Góry majaczyły w oddali, odcinając się czernią od szarzejącego nieba. W dole, we wsi, zapalały się w domach pierwsze światła. Zaczynał się kolejny wieczór. Jak każdego dnia.

Stara Siekierkowa została najdłużej. Piła wódkę, paliła papierosy, poprawiała haftowaną chustę na głowie i opowiadała o Marcinowej. O tym jak urodziła swojego najstarszego, Piotra, wieczorem, a rano była już z wszystkimi przy żniwach. O tym jak Andrzej dostał zapalenia opon mózgowych po szczepieniu przeciw gruźlicy i Marcinowa niosła go zawiniętego w koldrę, w nocy, pieszo, przez pola do szpitala w Sączu. O tym jak to Adam uciekł z domu, gdy ojciec przyłapał go na paleniu papierosów w stodole, a Marcinowa pojechała do Krakowa i uderzyła torbą milicjanta, który nie chciał wypuścić „jej małego Adasia” z Izby Zatrzymań.

Czasami przerywała te opowieści i powtarzała, patrząc w okno:

- A Marcinka to ona urodziła dla siebie. Na stare lata...

Kolejni goście podchodzili najpierw do Siekierkowej, potem do Marcina i żegnali się, składając kondolencje. Jak gdyby tak naprawdę tylko Siekierkowa i Marcin pochowali dzisiaj kogoś bliskiego.

Dom powoli pustoszał. Z podwórka odjeżdżały kolejne samochody. Spośród braci został tylko Stanisław. Gdy już wszyscy wyszli, wstał, dał znak córkom i żonie.

Podeszli razem do siedzącego przy Siekierkowej Marcina. Stanęli przed nim.

Stanisław poprawił mundur i powiedział:

- Marcin, słuchaj... tak myślę... to znaczy, tak myślimy... Sprzedaj chałupę i przyjedź do nas. Teraz, gdy mama nie żyje... Tyle dla niej zrobiłeś. Dla nas także.

Osiem lat byłeś dla niej. My tylko przyjeżdżaliśmy jak na wczasy. A ty... ty ją pielęgnowałeś. Dla nas wszystkich...

Przerwał na chwilę. Otarł łzy i mówił dalej:

- Na początku zamieszkasz u nas. Karolina jest w Warszawie, więc mamy pokój dla ciebie. Załatwię ci pracę u nas w jednostce. Kupisz sobie mieszkanie. Mógłbyś zacząć wszystko od nowa...

Marcin, zaskoczony, próbował nerwowo wstać z krzesła. Wydawało mu się, że ignoruje ich, siedząc.

Krzesło się zakleszczyło pomiędzy nogą stołu i krzesłem starej Siekierkowej. Ani drgnęło. To, co się tutaj i teraz działo, było takie... takie uroczyste. I ważne. A ważnych rzeczy nie wolno przyjmować na siedząco. Wtedy także się podniósł...

\* \* \*

To było jeszcze na długo przed chorobą matki. Pojechali trzema samochodami na zawody hipiczne. Ruszyli późnym wieczorem z Nowego Sącza i przez całą Polskę ciągnęli przyczepy z końmi, aby na rano zdążyć do Białogóry. Zawody zaczynały się o dziesiątej rano. Dopiero około ósmej mijali Gdańsk. Wprawdzie na każdy samochód przypadało po dwóch kierowców, ale Marcin i tak nie mógł spać podczas jazdy. Wydawało mu się, że jedynie on pozna po odgłosach dochodzących z przyczepy, czy z Gracją wszystko jest w porządku. Gdyby było wolno, najchętniej siedziałby w tej przyczepie, rozmawiałby z koniem, poprawiał pled na jego grzbiecie i przepraszał za to, że musi w ciemności stać długimi godzinami w tej klatce na kołach. Tak więc nie spał całą noc, a o jedenastej rano skakał na Gracji przez przeszkody. Organizatorzy niewłaściwie ustawili jedną z przeszkód. Gracja po skoku potknęła się i wpadła na belki odgradzające tor od widzów. Kość piszczelowa jego lewej nogi pękła jak zapalka. Jechał dalej. Dopiero w stajni, gdy koledzy musieli go zdjąć z siodła, poczuł ból. Zajął drugie miejsce. Do ceremonii wręczenia nagród podepchnięto go na wózku inwalidzkim, który organizatorzy wypożyczyli z pobliskiej przychodni zdrowia. I wtedy, gdy podeszli do niego z tym dyplomem i medalem, nie mógł przecież siedzieć. Wysunął się z

tego wózka, podniósł się do góry na rękach i stanął na zdrowej nodze. Zaciskając zęby z bólu, oparł złamaną nogę delikatnie o ziemię, by utrzymać równowagę. Stał podczas przyjmowania medalu. Usiadł, dopiero gdy członkowie jury przeszli do następnej dekoracji. Zaraz potem koledzy odwieźli go do szpitala.

\* \* \*

Karolina wybawiła go z opresji. Położyła mu dłonie na ramionach i przyciskając go do krzesła, powiedziała:

- Wujku, nie musisz zaczynać wszystkiego od nowa już teraz, zaraz. Tata tylko chce ci powiedzieć w naszym imieniu, że wprawdzie w Giżycku nie ma gór i Dunajca, ale są przepiękne jeziora. I kilka stadnin w pobliżu, więc mógłbyś poznać nowe konie... Przyjeźdź do nas.

Nachyliła się i pocałowała go w czoło. Marcin rozglądał się wkoło niespokojny. Gdy tylko Karolina zdjęła dłonie z jego ramion, znowu spróbował wstać. Z rumieńcem wstydu na twarzy wyglądał jak dorastający chłopiec przyłapany na podglądaniu przez dziurkę od klucza starszej siostry w kąpieli.

Po chwili dwie młodsze córki Stanisława zbliżyły się i też go pocałowały. Marcin zrezygnowany i pogodzony w końcu z tym, że nie uda mu się wydostać z pułapki, opuścił głowę i powtarzał tylko:

- Dziękuję wam, dziękuję...

W tym momencie stara Siekierkowa, nie wyjmując papierosa z ust, zaczęła śmiać się ochryple. Wypuszczając kłęby dymu, postawiła przed nim kieliszek z wódką.

- Marcinku, no, nie wstydź się, przepij do panien.

W tym momencie Stanisław stanął za bratem i mocno pociągnął jego krzesło.

Marcin wstał. Objęli się. Po chwili podszedł do żony Stanisława i pocałował ją w rękę. Potem wyszedł razem z nimi. Stał na progu i długo wpatrywał się w znikające światła ich samochodu, zanim wrócił do izby.

Stara Siekierkowa siedziała przy stole i odmawiała na głos różaniec. Usiadł na drugim krańcu stołu, patrzył na nią i słuchał. Szybko przesuwała bursztynowe paciorki w palcach i zawodzącym głosem monotonicznie wypowiadała modlitwy,

kiwając się na krześle. W pewnym momencie przerwała, sięgnęła po kieliszek, wypila, przeżegnała się, patrząc w sufit, i wróciła do różańca. Uśmiechną się. Po raz pierwszy tego dnia.

Odprowadził Siekierkową pod jej dom. Mróz najpierw orzeźwił go, ale potem, gdy wracał już sam poboczem oblodzonej szosy, stał się dokuczliwy, przeszywał dotkliwym zimnem. W domu Marcin wszedł do kuchni, aby zaparzyć herbatę. Z aluminiowego zasmolonego czajnika stojącego na żeliwnej kuchennej płycie wlał wrzątek do dwóch szklanek w metalowych koszyczkach, postawił je na drewnianej tacy, wyjął cukiernicę z kredensu, dwie łyżeczki z szuflady komody i poszedł z tym wszystkim do sypialni. Dopiero przechodząc przez skrzypiący próg oddzielający kuchnię od pokoju, którego przez ostatnie osiem lat nie opuszczała matka, zauważył, co zrobił. Z tacą w dłoniach wpatrywał się w puste, przykryte ciężką haftowaną narzutą łóżko. Odwrócił się gwałtownie, rozlewając herbatę i parząc sobie ręce. Cofnął się w pośpiechu do kuchni. Postawił tacę na parapecie okna i usiadł ciężko na zydlu. Przez łyżę widział parę wydobywającą się z czajnika. Z opustoszałego pokoju, gdzie odbywała się stypa, jak echo powracał głos Siekierkowej: „Samżeś teraz został Marcinku, sam jak ten palec. Samżeś teraz został...”.

\* \* \*

Minęły prawie cztery miesiące. Gdyby miał opisać wszystko, co działo się w jego życiu w tym czasie, zmieściłby ten opis na małym skrawku papieru. Takim samym jakich wiele, niezdarnie wydartych z uczniowskiego zeszytu, znalazł pewnego wieczoru w szufladzie stolika nocnego przy łóżku w sypialni matki.

Omijał ten pokój. Pewnego dnia po powrocie z muzeum zamknął drzwi do niego na klucz. Otwarte na oścież przez osiem lat wypaczyły się i została szeroka szpara przy wyszlifowanym jego krokami progu. Musiał to zrobić. Taki akt samoobrony - nie będzie już nigdy więcej nosić tam dwóch herbat, w zapomnieniu przygotowywać miseczki jej ulubionego twarogu z rzodkiewkami, wstawać w nocy, aby zgasić lampkę nocną i ostrożnie wyjąć matce z dłoni książkę, przy której

zasnęła. Zamknięte drzwi do tego pokoju - tak mu się wydawało - miały przypominać, że jej naprawdę nie ma. Przez kilka tygodni tak było w istocie. Ale potem, szczególnie wieczorami, przypominały mu o wiele więcej. Przypominały, że zamknął za nimi dotychczasowy cel swojego życia. Cały ustalony program, niemalże ceremoniał, który wyznaczały praca i opieka nad matką. Samotność, a nawet myśl o samotności nie należały do tego ceremoniału. Obowiązki w muzeum, opieka nad matką i praca na polu - taki schemat dni, miesięcy i pór roku nie zostawiał mu czasu na myślenie o tym, że jest sam. Teraz wraz z zamknięciem tych drzwi zburzył ten schemat i nagle poczuł się opuszczony, zapomniany, niepotrzebny.

Każdego dnia było podobnie. Tak przeraźliwie podobnie. Wstawał rano, rozpalał w piecu i bez śniadania jechał do pracy do Nowego Sącza. Zatrzymywał się przed bramą na tyłach muzeum, wysiadał z samochodu, otwierał stalową bramę pomazaną graffiti, wracał i parkował auto na podwórzu pod zakratowanymi oknami parteru. Skrzypiącymi schodami szedł na górę do swojego biura na poddaszu, z którego wychodził tylko wtedy, gdy trzeba było załatwić coś w mieście. W południe, kiedy na wieży pobliskiego kościoła biły dzwony na Anioł Pański, wyciągał z czarnej aktówki bułkę z pasztetową i jadł, patrząc na ulicę przed muzeum. Czasami pisał jakieś dokumenty lub sprawozdania na wysłużonym komputerze, a czasami rozmawiał z panią Mirą, kustoszką muzeum. To było dla niego trudne. Onieśmiałała go i wprawiała w zakłopotanie, a nawet w zawstydzenie, gdy czasami podczas tych rozmów siadała obok niego za biurkiem, na którym stał komputer, i pokazując coś na ekranie monitora, przypadkowo go dotykała kolanem lub ramieniem. Robił się wtedy czerwony na twarzy i musiał koncentrować się na tym, aby ona nie zauważyła jego zakłopotania. Zapach jej perfum po każdej takiej rozmowie czuł w swoim biurze na poddaszu jeszcze przez parę dni.

Około czternastej schodził z grubym brulionem na obchód muzeum, w którym tak naprawdę od lat nic się nie zmieniało. A jednak był to kulminacyjny moment jego

dnia. Obchód sal muzeum. W dwóch salach mieli ikony. Jedną z największych kolekcji ikon w Polsce. Gdy matka dostała wylewu i musiał zmienić pracę, przyszedł do muzeum głównie z oczarowania tymi ikonami. I pomimo tylu lat za każdym razem czuł to oczarowanie. Salę z ikonami zostawiał sobie zawsze na koniec obchodu. Miał swoją ulubioną ikonę. Ikonę Łukasza. Kazał ją przewiesić w centralny punkt ściany i oddalić inne, by nie zakłócały jej piękna. Gdy przez wysokie okna padało na nią słoneczne światło i odbijało się od złocistych ornamentów, wydawało mu się, że słyszy pieśń chóralną. Nie tylko on miał takie uczucie. Kiedyś pani Mira na jedno ze spotkań z nim przyniosła ze sobą grubą, oprawioną w skórę księgę gości muzeum. Ktoś wpisał tam dwa zdania, które i jego poruszyły:

„Istnieją muzea, w których chce się klęknąć i modlić. To małe muzeum także ma coś takiego”.

Na początku kwietnia postawił marmurowy pomnik na grobie matki. Chciał, aby na Wielkanoc, gdy przyjadą do Biczyc bracia z rodzinami, mogli pójść na cmentarz przy kościele i stanąć przy prawdziwym grobie. Zabrał któregoś dnia starą Siekierkową i pojechali samochodem do Nowego Sącza, aby wybrać kamień. Jeździli od cmentarza do cmentarza, aż w końcu znaleźli. Czarna ciężka bryła marmuru o nieregularnych, startych do szarości krawędziach. Wyglądała tak, jak gdyby była odłamana z większej całości. Wszyscy kamieniarze i grabarze, których odwiedzali, witali starą Siekierkową jak dobrą znajomą. Niektórzy nawet częstowali ją wódką, a poproszeni prowadzili do grobów, przy których modliła się na kolanach. Gdy tego dnia późnym wieczorem wrócili do Biczyc, Siekierkowa poprosiła go, aby pozwolił jej wejść do sypialni matki. Nie pytał nawet dlaczego. I nie wszedł z nią do tego pokoju. Zdjął klucz z haka na framudze, otworzył drzwi - po raz pierwszy od tamtego dnia, gdy je zamknął - i kiedy znikła w ciemności za progiem, cofnął się do kuchni. Potem, gdy staruszkę odwoził, powiedziała do niego:

- Marcinku, bez niewiasty i dzieci chałupa jest pusta jak grób. A ty masz już przecież jeden grób na cmentarzu na górce. Nie rób sobie drugiego w domu. Życie jest po to, aby żyć. Tak zawsze mówiła twoja matka. Ona żyła nawet wtedy, gdy mogła poruszać tylko głową i lewą ręką.

A gdy wysiadała z samochodu, odwrócona do niego plecami, dodała:

- Gospodyni ci trzeba. Dobrej kobiety ci trzeba. Boś sam dobry jest, Marcinku. Kobiety...

Gdyby nie matka, kojarzyłyby mu się wyłącznie z lękiem i niebezpieczeństwem. Dokładnie tak. Z trudem przypominał sobie ten okres swojego życia, kiedy nie bał się kobiet. Gdy wracał pamięcią do czasu „przed Martą”, wydawało mu się, że przypomina sobie fragment biografii innego mężczyzny. Jego życie podzielone było trochę jak historia świata na czas „przed” i „po”. Tylko że u niego był to czas nie po narodzinach, ale po śmierci.

Marta pojawiła się w jego życiu jak wiosenny deszcz, którego nikt się nie spodziewał. Zresztą zjawiała się naprawdę z deszczem. Czekał w Gliwicach na pociąg do Nowego Sącza. Na weekendy nie zostawał w akademiku, tylko wracał do matki i braci, by pomóc im w gospodarstwie. Wiosną, gdy pracy było szczególnie dużo, jeśli udało mu się zorganizować zwolnienie z zajęć na politechnice, wracał do Biczyc już nawet w czwartki. I właśnie w czwartek czekał na przyjazd pociągu, wraz z innymi schowany się pod dziurawym dachem dworcowym. Mimo świeżącego słońca nagle spadł deszcz z chmury przygnanej przez silny wiatr. Pociąg wjeżdżał na peron, gdy z tunelu dworcowego wyłoniła się młoda kobieta z walizką w jednej ręce i otwartym parasolem w drugiej. Biegła jak szalona, przystając co chwilę i stawiając swoją najwidoczniej ciężką walizkę na cementowych płytach peronu. Rozwiane włosy przykrywały jej twarz. Wiatr wyrócił parasol na drugą stronę, w pewnym momencie wyrwał go z jej dłoni, cisnął na tory wprost pod nadjeżdżający pociąg. Stała i zakrywając usta dłonią, z przerażeniem patrzyła, co się stało. Marcin przepchnął się przez tłum ludzi



próbujących dostać się do przepelnionego pociągu. Podbiegł, podniósł jej bagaż i zawołał:

- Proszę biec za mną, zdążymy!

Z walizką w ręku popędził do najbliższego wagonu.

- Niech pan ją zostawi... nigdzie nie jadę. Proszę natychmiast postawić moją walizkę! Nigdzie nie jadę! Słyszysz pan?! Nigdzie nie jadę, do cholery! Nigdzie!! - krzyczała za nim histerycznie.

Stanął i powoli się odwrócił. Usiadła na dworcowej ławce. Płakała.

Nie wie dlaczego, ale widok tej płaczącej dziewczyny poruszył go na tyle, że wszystko inne stało nagle się nieistotne, bez znaczenia. Przysiadł obok niej na ławce. Milczeli, gdy peron opustoszał i pociąg ruszał w dalszą drogę.

Tak poznał Martę.

Studiowała w Krakowie teatrologię. Była jedynaczką wychowywaną przez matkę, która po przedwczesnej śmierci męża, znanego warszawskiego dziennikarza, kochała córkę zaborczo. Ogarnięta panicznym lękiem o los Marty, zaplanowała dla niej całe przyszłe życie. A Marta zaczęła mieć, często tylko z przekory, własne plany. Ale to tylko umacniało matkę w przekonaniu, że tym bardziej musi ją chronić przed „czyhającymi na każdym kroku niebezpieczeństwami”. Potrafiła godzinami czekać w samochodzie pod domami przyjaciół córki, licealistki, jeśli młodzież organizowała prywatkę. Marta buntowała się coraz bardziej, nie chciała być traktowana jak przedszkolak. Najpierw były długie rozmowy z matką, potem nieustanne dyskusje, w końcu codzienne kłótnie. Matka nie dopuszczała do siebie myśli, że popełnia największy błąd, chcąc uchronić córkę przed popełnianiem błędów. Marta w akcie rozpaczliwego protestu postanowiła wyjechać z Warszawy i rozpocząć studia w Krakowie. Minęły dwa lata, nim matka pogodziła się z tą decyzją. Wtedy, w ten czwartek na dworcu, Marta wracała z Pragi, gdzie była kilka dni z matką. Od dwóch lat spędziły z sobą po raz pierwszy więcej niż kilka godzin. Matka, znany kardiolog, zatrzymała się w Gliwicach, aby spotkać się z profesorem Religą, a Marta wracała na swoją stację w Krakowie.

Marcin dowiedział się o tym wszystkim któregoś wieczoru prawie rok po pierwszym spotkaniu. Kochał ją już wtedy. Kochał wszystko w niej. I wokół niej także. Nawet tę jej walizkę z dworca.

Ta miłość nie była tylko namiętnością, która oszalamia, oślepia, odurza i... mija po jakimś czasie. Wprawdzie nieustannie czuł tę namiętność, ale bardziej czuł bliskość, szacunek i przekonanie, że oto spotkał kobietę, z którą by chciał zaczynać każdego dnia wszystko od nowa. Nie dopuszczał myśli, że ona wcale nie widzi w nim swego przeznaczenia. Czcił ją, uwielbiał, ignorując fakty, które wskazywały, że ona chce uciec od jego zaborczości, tak jak uciekła od matki. Dla niej miłość - potem mu to powiedziała - jest stanem ducha. Takim samym, jakiego się doświadcza na przykład po wysłuchaniu Dziewiątej Symfonii Beethovena. Ten stan może przerodzić się w coś permanentnego, ale może się także skończyć. Marcin pojawił się w jej życiu, gdy czuła się zagubiona i potrzebowała kogoś, kto będzie słuchał. Ale tylko wtedy, gdy ona będzie miała czas i ochotę na rozmowę. Poza tym był - dla niej i jej przyjaciół - egzotyczny, z innego świata. Nie warszawskiego, nie teatralno-krakowskiego. Góral z Biczyc, które najpierw musiał pokazać jej na mapie. Silny mężczyzna, dla którego „tak” zawsze znaczyło „tak”. Wielbił ją i mówił jej o tym. Niczego nie żądał. Czekał na przyzwolenie, wierząc, że i bez tego przyzwolenia „są razem”. Wystarczyło mu, że na spacerze dała trzymać się za rękę lub pozwoliła się pocałować w ciemnym kinie. Po dziesięciu miesiącach tego „bycia razem” został u niej na noc. Nic wielkiego - przynajmniej dla niej - się nie stało. Dotknął jej piersi, całował jej plecy. Noc spędził na dywanie przy jej łóżku. Budził się, wstawał i sprawdzał, czy jest przykryta kołdrą. Od tej nocy traktował ją jak „swoją kobietę”.

Ona nigdy tej miłości nie odwzajemniała. Po kilku miesiącach czuła skrępowanie, gdy pojawiała się z nim wśród znajomych. Nie pasował do tej sztucznej i napuszonej grupy artystów, której się wydawało, zwłaszcza po dużej ilości taniego piwa, że tworzy „bohemy wschodniej Europy”. Nie umiał nic udawać, nie znał nikogo ważnego, kto mógł „coś załatwić”, a to, że był jak „ze skansenu”, zaczęło

po pewnym czasie nudzić. Im bardziej Marta oddalała się od niego, tym bardziej przywiązywał się do niej, szukając błędów w sobie. Zamiast jeździć do Biczyc, zostawał na weekendy w Gliwicach, czekając na jej telefon. Czasami dzwoniła i wtedy rzucał wszystko, by spędzić kilka godzin w zadymionych klubach, wśród ludzi, których nie lubił, w których towarzystwie czuł się źle. Tłumaczył sobie, że robi to dla niej.

Którejś soboty po teatrze poszli dużą grupą na stację Marty. Przez nieuwagę zostawił tam swój plecak z indeksem i notatkami. Potrzebował ich na poniedziałek. W niedzielę wieczorem zauważył brak plecaka. Pojechał do Krakowa.

Na dworcu kupił mleko. Wiedział, że Marta zaczyna każdy dzień od szklanki mleka. Chciał, aby miała czego się napić w poniedziałek rano.

- Mam dla ciebie mleko, dwa procent tłuszczu, takie jak lubisz - powiedział z uśmiechem, gdy otworzyły się drzwi do mieszkania Marty.

W drzwiach stał mężczyzna. Nagi, tylko z białym ręcznikiem okręconym wokół bioder. Zmierzył go nieufnie od stóp do głów i krzyknął w głąb mieszkania:

- Marta, zamawiałaś jakieś mleko?!

- Nie. Ja nigdy nie zamawiam mleka. Bo co? - dał się słyszeć zdziwiony głos Marty, a potem kroki bosych stóp na deskach podłogi.

Stała obok tego mężczyzny. Tylko w bieliźnie. Z rozrzuconymi w nieładzie wilgotnymi włosami i grzebieniem w prawej dłoni. Zobaczyła go. Spojrzeli sobie krótko w oczy. Upuścił karton z mlekiem na podłogę. Biegł na oślep schodami w dół.

- Marcin... Proszę, wróć! Marcin! - słyszał za sobą jej krzyk.

I dlatego boi się kobiet. Kojarzą mu się z cierpieniem, zdradą i bólem. Jedni uciekają od cierpienia w jakiś fikcyjny świat podlewany etanolem lub kreowany jakimiś podejrzanymi substancjami chemicznymi, inni żyją szaleńczo, jak gdyby każdy dzień miał być ostatnią datą w kalendarzu świata, jeszcze inni stają się soplem lodu. On zaczął się bać. W lęku, panicznym albo nawet takim stałym,

trwającym godzinami, cierpienie schodzi na drugi plan lub znika zupełnie. Najważniejsze jest to, aby się nie bać. Wyeliminować wszystkie możliwe lub wyimaginowane przyczyny lęku. Dlatego postanowił unikać kobiet. Z nikim o tym nie rozmawiał. Z matką także nie. Ze wstydu, z upokorzenia, ale także w akcie samoobrony przed nawrotami wspomnień, które przez wiele długich lat były momentami jak porażenia prądem. Nigdy nie zapomniał Marty. Nigdy też nie stała się „jedną z kobiet jego życia”. Przez długi czas wszystko mu ją przypominało. Kraków, teatry, mleko, wiosenny wiatr, a nawet walizki podróżnych na dworcu. Potem wszystko to przyblakło trochę, a gdy zachorowała matka, nie miał czasu bywać w Krakowie ani nawet na dworcach.

\* \* \*

„Dobrej kobiety ci trzeba. Boś sam dobry jest, Marcinku...”.

Od dnia, w którym stara Siekierkowa pożegnała go tym zdaniem, było jakoś inaczej. Nie zamknął już więcej drzwi do pokoju matki. Dla pewności je wymontował. I od tych drzwi się wszystko zaczęło.

Nagle poczuł, że ta wiosna wokół to nie tylko przebudzenie na łąkach, które mijał w drodze do muzeum. On także się przebudził.

Zaczął od remontu domu. Wiedział, że nie zdąży przed Wielkanocą, przed przyjazdem braci. Nie dbał o to. Ten dom był jego, a nie gości, którzy zatrzymywali się tutaj tylko w drodze do ważniejszych miejsc. Wyniósł wszystko z pokoju matki. Spakował jej rzeczy, tak jak pakuje się coś, czego już więcej się nie zobaczy.

Najpierw jej książki obłożone w gruby papier kawowego koloru. Matka do końca życia czytała. Nie potrafiła żyć bez książek. Wspominał ich wyjazdy do Nowego Sącza na zakupy. Kobięcina w chustce na głowie ciągnie za rękę chłopczyka bez butów i dźwiga siatki, w których oprócz sera, mięsa, cukru i kartofli zawsze były biblioteczne książki owinięte w poplamiony szary papier...

Zapakował też jej listy do ojca, którego nie pamiętał, ale wiedział, że zabrany przez Urząd Bezpieczeństwa, nie wrócił z więzienia w Warszawie. Z tych cenzurowanych przez strażnika na Rakowieckiej listów wynikało tylko tyle, że

rodzice bardzo się kochali. Ojciec pisał: „Wychowaj synów na godnych i uczciwych Polaków”.

Kolekcja aniołów powędrowała do wielkiego kartonu. I kiczowaty obraz Jezusa z sercem w gałęziach z cierniami, wiszący nad jej łóżkiem. I jej książeczki do nabożeństwa pełne zasuszonych kwiatów i liści.

Potem zerwał tapety ze szlaczkami pod sufitem, wyrzucił wszystkie meble i pobielił ściany. Następnie zajął się kuchnią. Odciął komin do kuchenki na węgiel i kupił elektryczny piecyk.

Zerwał spróchniałą podłogę. Przez tydzień jeździł samochodem nad Dunajec, wchodził do lodowatej wody i wyciągał kamienie na brzeg. Wyłożył nimi podłogę.

Wszystko miało być naturalne. Żadnego betonu ani cementu. Czysta natura.

Oszlifowane wodą i czasem kamienie z Dunajca i na to dębowe deski.

Przez remont domu nagle miał znowu jakiś cel. Bywał w Nowym Sączu, nie tylko w muzeum. Któregoś dnia spotkał kolegę, instruktora ze stadniny. Dał się namówić i pojechali do stajni. Wszyscy witali go tam jak dobrego znajomego. Jak kogoś, kto był tam zawsze. Po tygodniu przyjechał tam znowu i dosiadł konia. W stadninie rozniosło się, że „Marcin znowu skacze”.

W poniedziałek Wielkiego Tygodnia wyszedł z muzeum już w południe. Miał spotkanie w banku, gdzie złożył podanie o kredyt na renowację dachu. Dosyć miał łatania dziur po każdej zimie, smrodu stęchlizny, suszenia strychu, wilgoci w całym domu. Gdy przyszło do podpisywania umowy, wyciągnął z portfela dowód osobisty. Na marmurową posadzkę banku upadła biała wizytówka. Schylił się po nią. Wizytówka Karoliny. Córki Stasia. Tej z ogromnymi oczami jak jeziora.

Uśmiechnął się, przypominając sobie jej słowa z komentarza: „Wujku, zadzwoń albo napisz do mnie e-mail... Pójdziemy na wyścigi”.

Potem, w muzeum, gdy siedział przy komputerze, wyciągnął tę wizytówkę jeszcze raz. Adres e-mailowy Karoliny... Dlaczego nie napisać? Wszyscy teraz piszą e-maile! Włożył marynarkę. Szybko zbiegł po schodach. Wsiadł do samochodu i pojechał do Domu Towarowego w centrum miasta. Po godzinie był z powrotem w

biurze. Obok komputera postawił karton z modemem. Postanowił zaczekać z podłączeniem do momentu, aż wszyscy wyjdą z muzeum. Dawno nie czuł takiego podniecenia.

Wydawało mu się, że zna się na modemach. Stacje transformatorowe, które obsługiwał, gdy jeszcze nazywano go „inżynierem energetykiem”, dawno temu przed chorobą matki, były wyposażone w modemy. Ogromne szare lub czarne skrzynki z pokrętkami połączone z jednej strony czerwonymi kablami z licznikami i miernikami transformatora, z drugiej - z automatyczną linią telefoniczną sieci obsługiwanej z najbliższego zakładu energetycznego w okolicy. W ten sposób energetyk dyżurny mógł sprawdzać zdalnie wskazania liczników transformatora na swojej konsoli. Gdy coś uległo uszkodzeniu, mógł to natychmiast zauważyć, zlokalizować i wysłać ekipę. Marcin był wtedy kierownikiem takiej ekipy. Musiał być nieustannie pod telefonem. Dlatego też jako jedni z pierwszych mieli w Biczycach telefon. W razie awarii wsiadał na motocykl i jechał. Tak jak tego dnia, gdy matka dostała wylewu.

Modem komputerowy był jednak zupełnie inny. W niczym nie przypominał tych z transformatorowni. Marcin wiedział, że bez tej małej czarnej skrzynki nie połączy swojego komputera w muzeum z Internetem, który był gdzieś tam za gniazdkiem wtyczki jego telefonu w biurze. Dotychczas nie potrzebował Internetu. Słyszał o nim, czytał o nim, rozmawiał o nim. Doskonale pamiętał, jak jego brat Andrzej, naukowiec z Gdańska, powiedział mu kiedyś:

- Ja bez Internetu mógłbym zamknąć swoje biuro na uczelni, wyłączyć światło i nigdy tam nie wracać. Gdy nie jestem kilka dni w Sieci, to mam wrażenie, że świat, nie tylko ten naukowy, się zmienia, a ja nic o tym nie wiem.

Adam, którym Andrzej pogardzał i z którym klócił się nieustannie, tylko w tym jednym zgadzał się ze starszym bratem, nie mówiąc tego zresztą oficjalnie, ale powtarzał, gdy Andrzeja nie było w pobliżu:

- Bez Internetu nie miałbym zleceń, informacji i znajomych. Poza tym dzięki Internetowi mam żywą kasę! Ostatnio mogłem zwolnić pięciu strażników, bo

zamontowaliśmy na obiekcie kamery podłączone bezpośrednio do Internetu. Przynajmniej wiem, że nie płacę tym starym esbekom za spanie na służbie. Marcin tak naprawdę nie rozumiał do końca, o czym bracia mówią. Świat w Biczycach i ten jego muzealny w Sączu doskonale obywatel się bez Internetu. Ale teraz chciał napisać do Karoliny. Nie wiedział jak, nie wiedział nawet po co. Przecież i tak nie pojedzie do niej do Warszawy. Ale chciał. Teraz i tutaj. Nie po to kupił tę skrzynkę, aby siedzieć nad nią jak analfabeta nad książką. On, magister inżynier! Zszedł do samochodu po okulary. Muzeum było zamknięte. Wszyscy już dawno poszli do domu. Wrócił do biura po klucze, aby otworzyć główną bramę. Zaparzył sobie herbatę i zaczął czytać instrukcję obsługi modemu. Strona po stronie.

Zrobił wszystko, jak kazali. Nie działało. Był na skraju rezygnacji, gdy przypomniał sobie, że Szymon, jego bratanek, używa Internetu. Mieszka niedaleko, tutaj, w Nowym Sączu. Zadzwoił. Odebrał Piotr. Po krótkiej rozmowie - nigdy nie mieli tak naprawdę sobie nic ważnego do powiedzenia, chociaż mieszkali blisko siebie - oddał słuchawkę Szymonowi.

- Jasne, wujku, zaraz będę. Internet w muzeum... super! Nareszcie idziesz do przodu, wujku. Mogę wziąć ze sobą do ciebie do muzeum Aśkę? Ty jej pokażesz ikony, a ja ci w tym czasie ustawię modem.

Czuł się zawstydzony, że musi prosić Szymona o pomoc. To „idziesz do przodu” trochę go zabolalo. Jak ten świat się zmienia, pomyślał. Niedawno uczyłem smarkacza jeździć na rowerze, a teraz on mi tu mówi „idziesz do przodu, wujku”. Było już ciemno, gdy usłyszał podjeżdżający pod muzeum motocykl. Zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie był w swoim muzeum po zmroku. Szymon po kilku słowach powitania pobiegł natychmiast schodami do jego biura „ustawiać modem”. Marcin chciał iść za nim, aby podpatrzeć, jak on to robi, ale Aśka, dziewczyna Szymona, została na dole w holu muzeum i czekała. Filigranowa blondynka z rozwianymi od jazdy na motocyklu włosami. Wstukał na klawiaturze urządzenia alarmowego kod zabezpieczający. Zgasła mrugająca czerwona

lampka nad klawiaturą i ze zgrzytem puściło zabezpieczenie kraty. Otworzył kluczem salę z ikonami. Dziewczyna zaczęła zdejmować buty.

- Nie, nie trzeba. Tu nie jest Wawel - powstrzymał ją z uśmiechem.

Weszli do ciemnej sali. Światło z holu padło wprost na ikonę Łukasza. Marcin podszedł do włącznika światła.

- Proszę, niech pan nie zapala - powiedziała dziewczyna. - Jeszcze chwilę nie. Proszę!

Odwrócił się. Stała zachwycona. Odbite od złocień ikony światło rozproszyło się, tworząc rodzaj poświaty. Wszystko stało się trójwymiarowe i wyolbrzymione. Stali tak krótką chwilę w milczeniu, wpatrując się w ikonę. Pomyślał, że niektóre muzea powinny być otwarte nocą...

- Modem działa - usłyszeli nagle za sobą głos Szymona. - Ustawieś, wujku, wybieranie tonowe, a wy tutaj macie ciągle dziewiętnasty wiek w telefonii i wybieracie impulsowo. Założyłem ci adres e-mailowy, wujku, chodź ze mną na górę, pokażę ci co i jak. Zostawmy tutaj Aśkę, niech sobie pochodzi po sali. A co wy tak po ciemku?! - dodał, podchodząc do włącznika światła.

Przekręcił gałkę i poszedł na górę. Światło jarzeniówek podwieszonych pod sufitem oślepiło ich. Aśka nie ruszyła się z miejsca, zapatrzona w ikonę.

Szymon nie był już tym smarkaczem, którego uczył jeździć na rowerze. Gdy siedzieli przed komputerem w jego biurze, to on raczej czuł się jak mały chłopiec przed swoją pierwszą jazdą rowerem. Szymon objaśniał mu podniecony serwery poczty przychodzącej i wychodzącej, pokazywał strony internetowe, klikał w jakieś podkreślone teksty lub graficzne miniaturki, a wtedy nagle pokazywały się obrazy, dochodziły sygnały dźwiękowe lub muzyka z głośników. Nawet nie wiedział, że ma te głośniki.

- Wujku, te małe grafiki to ikony. Takie jak te twoje tutaj w muzeum, tylko mniejsze

- śmiał się Szymon. - Wpisałem ci adres Karoliny do książki adresowej - rzekł, podając mu wizytówkę leżącą przy monitorze komputera.



Gdy zeszli na dół, Aśka ciągle była w sali z ikonami. Po ich odejście Marcin zamknął muzeum i wrócił pośpiesznie do biura. W szufladzie znalazł stary zeszyt, na okładce napisał drukowanymi literami „Internet” i zanotował wszystko, co zdołał zapamiętać z rozmowy z Szymonem. Minęła północ, gdy był wreszcie gotowy. Zaczął pisać swój pierwszy w życiu e-mail.

Droga Karolino!

Jeśli ten list (czy to można nazwać listem???) wyjdzie poza szkło mojego monitora i dotrze do Ciebie jakąś magiczną nitką zaczynającą się z drugiej strony mojego komputera i prowadzącą przez dziurę w ścianie mojego muzeum, to koniecznie napisz mi o tym. Spędziłem bowiem, Karolinko, kilka długich godzin, aby móc zadać Ci tą drogą takie pytanie. I wiesz co? To były bardzo radosne godziny...

Szymon pokazał mi konie w Internecie! Jest ich tutaj tyle, że nie wiem, od czego zacząć.

Mam nadzieję, że radzisz sobie w tej Warszawie.

Serdecznie Cię pozdrawiam

wujek Marcin (ten z Biczyc)

W drodze do domu czuł, że coś zmieniło się tej nocy w jego życiu. Włączył radio w samochodzie. Muzyka. Odruchowo wyciągnął rękę, aby wyłączyć. Nie, dzisiaj nie... - pomyślał. Dzisiaj właśnie chciał słuchać muzyki.

Jeszcze było ciemno, gdy obudziło go bicie zegara w pokoju matki. Nie zdarzało mu się to dotychczas w ostatnich miesiącach. Próbował ponownie zasnąć. Nie mógł. Było zbyt wcześnie, aby jechać do muzeum. Wyłączył budzik, wstał i poszedł do kuchni. Nastawił wodę w czajniku. Słyszał szczekanie psów w oddali. Spojrzał przez okno. Góry czerniały na tle szarości budzącego się dnia. Wyszedł przed dom. Chłód obudził go i otrzeźwił. Nagle usłyszał niewyraźny przytłumiony głos dochodzący z podwórka. Przez chwilę nie potrafił go zlokalizować.

Zapomniał wyłączyć radio!

Muzyka. Przecież słuchał w nocy muzyki w samochodzie.

Uśmiechnął się. Wrócił do mieszkania po klucz. W komórcie pod stertą książek i czasopism znalazł stare radio, które po śmierci matki spakował w karton i wyniósł.

Dotychczas nie potrzebował radia, bo mogłoby zakłócić jego poranną smutną ciszę. Denerwowałoby roześmianym głosem spikerów, którzy nie wiadomo dlaczego przekonywali wszystkich o tym, że wstaje nowy dobry dzień. Irytowałoby reklamami czegoś, czego nigdy nie będzie potrzebował. Drażniłoby hałasem. A teraz poczuł, że chce znowu słuchać muzyki. Od wczorajszej nocy znowu chce. Ustawił radio w kuchni na kredensie.

Muzyka...

Zaczynało świtać. Ze stolika nocnego przyniósł swój zeszyt z napisem „Internet”, usiadł z herbatą przy stole i zaczął czytać.

Tego dnia był w muzeum przed wszystkimi. Wbiegł schodami do swojego biura, rzucił kurtkę na krzesło i natychmiast włączył komputer. Rozczarowany wpatrywał się w ekran. Karolina nie odpowiedziała. Znalazł leżącą przy klawiaturze wizytówkę. Wybrał numer telefonu do Warszawy.

- Dzień dobry, Karolinko - powiedział, gdy tylko ktoś po drugiej stronie odebrał telefon. - Czy dostałaś...

Męski głos przerwał mu w połowie zdania:

- Karolina wraca dzisiaj z Zurychu. Będzie w biurze dopiero po południu. Czy życzy sobie pan, aby coś jej przekazać?

- Przekazać? Nie, nie trzeba... to nie jest ważne. Przepraszam. Do widzenia.

Odłożył szybko słuchawkę, zawstydzony swoją niecierpliwością. W tym momencie usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - krzyknął zniecierpliwiony.

Kustoszka muzeum, pani Mira, stanęła w drzwiach. Widać było po wyrazie jej twarzy, że jest zdenerwowana.

- Panie dyrektorze, przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam tylko zapytać, czy wszystko w porządku...

Zdziwiony, spojrział na nią uważnie.

- Oczywiście, że w porządku. Dlaczego pani pyta?

- Nigdy nie przychodzi pan tak wcześnie do muzeum, poza tym... - Zaczerwieniła się. - Alarm w sali ikon nie był włączony. Nie wiem, co się stało. Wczoraj przed wyjściem jak zawsze włączyłam, a dzisiaj był wyłączony.

Poczuł się jak mały chłopiec przyłapany na kłamstwie. Odwrócił głowę do ekranu komputera i powiedział:

- Widocznie zapomniałem włączyć. Wczoraj w nocy byłem w tej sali. Musiałem przez roztargnienie... no wie pani... musiałem zapomnieć.

Uśmiechnęła się.

- Tak? To pan? A tak się martwiłam. Sprawdziłam całą salę. Nic nie zginęło. Ale chciałam się upewnić. Ja także czasami oglądam nasze ikony w nocy, gdy tylko światło z holu oświetla tę salę. - Podeszła bliżej. - Prawda, że są wtedy zupełnie inne?

Poczuł zapach jej perfum. Nagle zauważył, że pani Mira nie jest jak zwykle w swoim szarym kostiumie. Miała na sobie oliwkowy roboczy fartuch kończący się wysoko nad jej kolanami. Włosy spięła w kok. Wyglądała zupełnie inaczej. Miała długą szczupłą szyję. Zawsze lubił, gdy Marta upinała włosy do góry.

- Tak. Ma pani rację... są... są zupełnie inne - odpowiedział cicho. A potem, patrząc na jej fartuch, zapytał: - Czy robi pani dzisiaj miesięczną inwentaryzację?

- Nie. Zapomniał pan? - Roześmiała się. - Przecież wysyłamy dzisiaj ikony do Gdańska. Pakujemy je z panem Romanem w skrzynie. Samochód będzie około południa. - I kładąc wydrukowany dokument na jego biurku, dodała: - Czy mógłby pan podpisać protokół wysyłkowy?

Zawstydził się. Drugi raz tego dnia przyłapała go na roztargnieniu.

- Ależ tak... oczywiście. Dzwonili kilka dni temu do mnie... - Próbował ukryć zmieszanie.

Podpisał dokument bez czytania. Podając go pani Mirze, spojrzął jej w oczy i powiedział:

- Powinna pani częściej spinać włosy w kok...

Zaczerwieniła się. Wzięła od niego protokół, wsunęła w skoroszyt, odwróciła się i bez słowa wyszła, zamykając drzwi.

Wyłączył komputer i zszedł na dół. W sali ikon pod oknami stały niewielkie drewniane skrzynie ponumerowane białą farbą. Kustoszka uśmiechnęła się, gdy wszedł.

Do południa spakowali wszystkie ikony. Na ścianach opustoszałej sali zostały ciemne od kurzu prostokąty. Kiedy późnym popołudniem samochód z Gdańska wyjechał już za bramę muzeum, Marcin zapukał do drzwi kustoszki i zapytał:

- Czy mógłbym z panią wypić herbatę... - zawahał się przez chwilę - ...pani Mirko?

- Ależ oczywiście... panie dyrektorze - odpowiedziała, zapinając guziki fartucha i poprawiając włosy.

Po raz pierwszy był w tym pokoju. Zobaczył mnóstwo kwiatów doniczkowych na parapetach, na biurku, a nawet na podłodze. I półki z książkami na wszystkich ścianach. Drzwi pokryte były przypiętymi pinezkami arkuszami papieru z dziecięcymi rysunkami. Każdy z rysunków miał datę wpisaną pomarańczowym mazakiem. Na biurku oprócz segregatorów, kalendarza i otwartej książki stała oprawiona w grubą mahoniową ramę duża fotografia uśmiechniętej dziewczynki bawiącej się z psem.

- Mam tylko zieloną herbatę - odezwała się pani Mira, wysuwając szufladę biurka.

- Pije pan zieloną?

- Z przyjemnością wypiję - odpowiedział.

Wyjęła torebkę z herbatą i podeszła do elektrycznego czajnika stojącego na parapecie okna.

- Śliczna mała - rzekł, biorąc w dłonie fotografię z biurka. - To pani córeczka? Jak ma na imię?

Stała odwrócona do niego plecami i wsypywała herbatę do szklanek.

- Agnieszka. Umarła trzy lata temu.

Wpatrzony w fotografię, stał osłupiały. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Odstawił powoli zdjęcie na biurko, w to samo miejsce. Dokładnie w to samo. Tak jak gdyby to, aby ta fotografia stała dokładnie w tym samym miejscu, miało jakieś niezwykle, absolutnie najważniejsze znaczenie. Słyszał bulgotanie wrzącej wody w czajniku. Podeszedł do parapetu. Uprzedził panią Mirę. Wziął czajnik do ręki i nalał wodę do jednej ze szklanek. Odstawił czajnik. Chwył dłoń pani Miry, uściskał i powiedział:

- Tak bardzo mi przykro. Nie wiedziałem. Ja przez wszystkie te lata nawet nie wiedziałem, że ma, to znaczy... że miała pani córeczkę. Jest mi bardzo przykro... Proszę mi wybaczyć.

Odwrócił się i wyszedł.

Pojechał do miasta. Zatrzymał się przy pierwszej napotkanej restauracji. Zamówił kieliszek wódki. Potem drugi.

„Agnieszka. Umarła trzy lata temu”.

A on, do cholery, myślał, że to on w tym mieście przeżył największy ból tego świata! Co za bezgraniczna arogancja! Ciekawe, kiedy ona zaczęła słuchać znowu muzyki? Może nie potrafi słuchać do dzisiaj?

Zatrzymał spoconą kelnerkę przemykającą obok jego stolika.

- Proszę jeszcze jedną wódkę. Nie, od razu dwie.

Zostawił samochód przy restauracji. Pieszko wrócił do muzeum. Było już ciemno.

W biurze włączył komputer. W jego skrzynce pocztowej były dwa e-maile.

Karolina pisała:

Wujku, jestem z Ciebie dumna! Zawsze byłam, ale teraz jestem jeszcze bardziej.

Nie zadzwonię do Ciebie, bo wiem, że sobie z Internetem poradzisz. To jest o niebo prostsze niż obsianie pola w Biczycach. Dzwoniłam do taty. Powiedziałam mu, że w całej naszej rodzinie to on teraz pozostał ostatnim „sieciowym analfabetą”. Obiecał mi, że wstawi do mojego pokoju komputer, aby Ci nic nie brakowało, gdy przyjedziesz do nich, to znaczy do nas, do Giżycka.

Wszyscy czekają tam cały czas na Ciebie.

Babcia ma pojutrze urodziny. Zapalisz na jej grobie znicz ode mnie? Proszę!

Karolina

I drugi list:

Jutro podam Ci adres internetowy najlepszego polskiego czatu o koniach.

Rozmawiają tam ludzie tak samo - albo nawet bardziej - zakręceni na punkcie koni jak ty.

Karolina

PS :-) Teraz przechył głowę w lewo i popatrz na te znaki po lewej stronie. Widzisz uśmiech? Widzisz, prawda? To mój. Dla Ciebie. Od Karoliny z Warszawy

Posłusznie przechylał powoli głowę w lewo. W pewnym momencie zobaczył.

Zaczął się śmiać. Nie śmiał się od tak dawna...

Nie wiedział, co to jest czat. Nie miał jeszcze tego w swoim zeszycie. Poza tym nie potrafił sobie wyobrazić, jak można w ogóle rozmawiać w Internecie. Ale dowiem się, pomyślał. Dowiem się wszystkiego.

Następnego dnia w drodze do pracy zatrzymał się przy małym sklepiku na rogu ulicy prowadzącej do muzeum. Kupił wszystkie rodzaje zielonej herbaty, jakie mieli. Około południa zadzwonił do kustoszki.

- Pani Mirko, mam cztery gatunki zielonej herbaty. Zupełnie się na nich nie znam.

Czy mógłbym przyjść z nimi do pani i czy... czy napijemy się razem?

Siedzieli przy biurku i rozmawiali. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz po śmierci matki rozmowa z kimś sprawiała mu przyjemność. Czasami spoglądał na fotografię na biurku. W pewnym momencie nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Czy słucha pani muzyki?

Uśmiechnęła się.

- Długo jej nienawidziłam. Nawet muzyki organowej w kościele. Przez ponad dwa lata potrzebowałam nieustannej ciszy. Ale teraz nie mogę żyć bez muzyki. Dzisiaj cisza przypomina mi smutek.

Gdy po godzinie wrócił do swojego biura, czekał na niego e-mail. Karolina w szczegółach objaśniała mu, że czat to taka rozmowa prowadzona za pomocą klawiatury komputera, gdy wszyscy piszą swoje teksty na dany temat i każdy uczestnik widzi to, co napisał inny. Podała mu także dokładną instrukcję, jak połączyć się z czatem, na którym spotykają się ludzie chcący porozmawiać o koniach. Zapisał to wszystko skrupulatnie w swoim zeszycie i wieczorem, gdy muzeum było już puste, spróbował.

Zdumiony przypatrywał się temu, co zobaczył na ekranie monitora. Karolina miała rację, ci ludzie naprawdę rozmawiali! Przez kilkanaście minut tylko czytał.

Czasami miał ochotę włączyć się do rozmowy. Skomentować, zadać pytanie, uzupełnić lub dyskutować z idiotycznymi odpowiedziami. Impulsywnie wyciągał rękę do klawiatury, ale w ostatnim momencie z nieśmiałości i strachu je cofał. W pewnym momencie ktoś napisał do niego. Zaskoczony zobaczył swoje imię na ekranie.

Natalia 32: Marcin, jak się masz? Nie wiem, co o tym sądzić, ale czytałam ostatnio, że hipoterapia dla dzieci z porażeniem mózgowym to tylko nabijanie kasy właścicielom stajni w dużych miastach. Czy ty też tak uważasz?

Poczuł się jak mały chłopiec, którego wywołano z kryjówki. W pierwszej chwili nie wiedział, jak zareagować. Dopiero gdy zobaczył na ekranie:

Natalia 32: Marcinie, jesteś tam????!!!

wystukał powoli tekst:

Marcin: Tak, jestem. Przepraszam Panią, że się nie odzywałem. To mój pierwszy w życiu czat.

Gdy zobaczył, co sam napisał, chciał wymazać ostatnie zdanie. Czuł się zawstydzony. Trochę jak ktoś, kto przyznał się publicznie, że w wieku czterdziestu pięciu lat przeczytał swoją pierwszą książkę. Po chwili był już bez reszty pochłonięty rozmową i skupiony na tym, aby jak najszybciej wstukiwać odpowiedzi i pytania.

Rozmawiali o swoich ulubionych koniach, o turniejach, w których brali udział, o uprzężach i o zapachu stajni pełnej świeżego siana. Opowiadał o stadninie w Nowym Sączu, o swojej pracy w muzeum. Dowiedział się, że ona jest z Ciechocinka, brała udział w zawodach hipicznych i oprócz książek ma tylko tę jedną jedyną pasję: konie. Anonimowość rozmowy i fakt, że nie siedzieli naprzeciwko siebie i nie widzieli się, sprawiły, że potrafił opowiedzieć o sobie dużo więcej, niż powiedziałby w normalnej sytuacji. Zwłaszcza kobiecie.

W pewnym momencie napisała:

Natalia 32: Muszę już wyjść, bo przyjechali po mnie. Miły jesteś, Marcinie. Strasznie miły.

Znikła. Siedział jeszcze chwilę i wpatrywał się w te ostatnie jej zdania, wypychane powoli ku górze ekranu przez pojawiające się bezustannie teksty innych rozmówców.

Czuł onieśmienie. Ale także radość. I rodzaj bliskości. Żadna kobieta poza Martą nie mówiła tak do niego.

Nie było jej następnego dnia. Włączał komputer, wchodził na czat i wypatrywał jej. Próbował o różnych porach. Pojawiła się znowu po trzech dniach. Znowu późnym wieczorem. Ucieszyła się, gdy powiedział, że na nią czekał. Ignorowała wszystkich innych. Rozmawiała tylko z nim. Któregoś razu, po trzech tygodniach,



tak ustawiła ich łączność na czacie, że rozmawiali tylko we dwoje i nikt inny nie mógł widzieć, co piszą. Nie wiedział nawet, że jest to możliwe. Od tego dnia było inaczej. Opowiadała o sobie. O wierszach, które ją wzruszają, o miejscach, które chciałyby zobaczyć, o swych marzeniach.

Wzruszała go, rozbawiała. Po dwóch miesiącach wiedział, jaką muzykę lubi, jakie czyta książki i jakie kwiaty podobają się jej najbardziej. I kupował te same książki. Słuchał tej samej muzyki. Dzięki niej znowu zauważył, że istnieją kwiaty. Wracał do domu w Biczycach, siadał przy herbacie w kuchni i tęsknił za następną rozmową. Po trzech miesiącach tęsknił za nią.

Czy można za kimś tęsknić i cieszyć się tym? - zastanawiał się któregoś soboty. Obudziło go ujadanie psa w sąsiedztwie. Tej soboty nie musiał wstawać, aby pojechać do muzeum. Jego dyżur - weekendowe dyżury, kiedy było najwięcej odwiedzających, dzielił na przemian z kustoszka - przypadał tym razem w niedzielę. Bezskutecznie próbował zasnąć. Świtało.

Wstał, obmył twarz zimną wodą z miednicy. Wyszedł z domu i ruszył drogą w kierunku chałupy Siekierkowej. Góry spowite poranną mgłą majaczyły w oddali. Mieszkał w Biczycach od urodzenia i odkąd pamiętał, zawsze zachwycił go i uspokajał widok gór. Świat dzięki nim miał swój porządek i swoją miarę. Wszystko przemijało, a majestatyczne góry zawsze były takie same.

Minał chałupę Siekierkowej i z głównej drogi skręcił w boczną leśną ścieżkę. Po kilkuset metrach przedzierał się przez krzaki jeżyn do porośniętej mchem stromej skarpy. Gdy był małym chłopcem, przychodził tutaj czasami z matką. Matka wyciągała z siatki książkę, on kładł głowę na jej kolanach, zamykał oczy i wyobrażał sobie historie i miejsca, o których mu czytała.

Usiadł na skarpie. Myślał o Natalii. Jakie ma oczy? Jakie dłonie? Chciałby usłyszeć, jak wymawia jego imię... Opowiadała wprawdzie o sobie, ale zawsze tylko o swoim życiu. Nigdy nie pisała, jak wygląda. Wiedział tylko, że ma długie włosy, które zawsze przed jazdą konną musiała ciasno upinać, aby zmieściły się pod toczkiem. Rozwichrzone w czasie galopu włosy mogą przecieżyć konia

niepokoić. Tęsknił za nią. I tam, na tej skarpie, zdał sobie sprawę, że sprawia mu radość ta tęsknota. W poniedziałek zapytał o kolor jej oczu, postanowił. Zapytał tak zupełnie wprost...

Chciał wiedzieć o niej jak najwięcej. Wydawała mu się tajemnicza. Oprócz tego, że rozmawia z nim, będąc w kawiarni internetowej przy jakiejś stadninie koni w Ciechocinku, nie wiedział nic więcej. Nie rozumiał, dlaczego tylko w wybrane dni ma dostęp do Internetu. I dlaczego tylko w ściśle ustalonych godzinach. I co znaczy to powtarzane przez nią za każdym razem, gdy kończyli rozmowę: „Muszę już wyjść, bo przyjechali po mnie”. Kto przyjechał po nią? I dlaczego jest to takie ważne, by natychmiast przerwać rozmowę i zniknąć? Tak, w poniedziałek zapytał o to wszystko...

Czekał na ten poniedziałek jak dziecko na moment rozpakowywania prezentów w Wigilię. Jakby miało go spotkać coś niezwykłego. Irracjonalnie wierzył, że tak właśnie będzie. Miał wrażenie, że ten weekend ciągnie się w nieskończoność i poniedziałek nigdy nie nadejdzie. Gdy po południu skończył niedzielny dyżur w muzeum, nie wiedział, co ma z sobą zrobić. Napisał długi e-mail do Karoliny, uzupełnił nudne sprawozdania dla ministerstwa w Warszawie, próbował czytać kolejny rozdział książki o Internecie, ale nie mógł się skupić i przerwał po kilku stronach. Wieczorem odszukał w biurku butelkę koniaku, którą dostał w prezencie od pracowników muzeum na urodziny, i pojechał do Piotra. Nie był u niego od kilkunastu lat, choć brat mieszkał w Nowym Sączu.

- Szymona nie ma w domu - powitał go zdumiony wizytą Piotr.

- Nie przyszedłem do Szymona. Pomyślałem, że dawno nie rozmawiałem z tobą przy koniaku - powiedział i uściskał brata.

W poniedziałek rano wstał w pośpiechu. Gdy wyjechał przed podwórze i wysiadł z samochodu, by jak zwykle zamknąć bramę, spiker w radiu zapowiadał ulubioną muzykę Natalii. Ruszył dalej. Otworzył okno, aby poczuć zapach tego wiosennego poranka. Po chwili dojeżdżał do granic Nowego Sącza.

Ta myśl pojawiła się nagle. Poddał się jej bez wahania. Tak jak gdyby dawno wiedział, że kiedyś nadejdzie i że tak będzie najlepiej. Minął znak drogowy zapowiadający skrzyżowanie. W lewo do Tarnowa, prosto do Sącza. Pięćdziesiąt metrów za skrzyżowaniem gwałtownie zahamował, sprawdził w lusterku, że za nim nie jadą samochody. Zjechał na trawiaste płaskie pobocze i skręcając w lewo, z piskiem opon zawrócił. Chwilę później był na drodze do Tarnowa. Po omacku znalazł w torbie telefon komórkowy. Wybrał numer kustoszki. Zamknął okno, wyłączył radio w samochodzie i skupił się, aby nie okazać zdenerwowania.

- Pani Mirosłavo... mówi Marcin. Nie będzie mnie dzisiaj w muzeum. I jutro także nie. Muszę załatwić coś bardzo ważnego. Do zobaczenia w środę.

Nie czekając na odpowiedź, przerwał połączenie.

Przyśpieszył. Rozwiązał krawat i rzucił na tylne siedzenie. Dotknął dłonią swojej twarzy.

Na stacji benzynowej przed Ciechocinkiem się ogoleł, pomyślał.

Jechał, zatrzymując się tylko na tankowanie. Im bliżej był Ciechocinka, tym większy czuł niepokój. Około czternastej zbliżał się do Włocławka. Miał bardzo dużo czasu. Natalia pojawiała się na czacie około dwudziestej.

W Ciechocinku znalazł centrum handlowe. Kupił nową koszulę i przybory do golenia. W recepcji jednego z sanatoriów dowiedział się, że stadnina koni z kawiarnią internetową znajduje się przy drodze prowadzącej do Torunia.

Pojawił się tam o wpół do ósmej. Zostawił samochód na małym parkingu naprzeciwko wejścia do głównej stajni. Wąska ścieżka z parkingu prowadziła do budynku przypominającego fabrykę. Wszedł do gwarnej sali restauracyjnej zamkniętej z jednej strony szklaną ścianą, za którą znajdowała się rozświetlona hala ujeżdżalni. Przechodzącego kelnera zapytał o komputery. Kelner poprowadził go do małego pustego pomieszczenia obok kuchni. Monitory migotały w mroku pokoju bez okien.

Więc to tutaj... - pomyślał, dotykając spoconą drżącą dłonią klawiatury jednego z komputerów.

Wrócił do restauracji i usiadł przy wolnym stoliku tuż przy szybie oddzielającej restaurację od ujeżdżalni. Spoglądał niecierpliwie na zegarek. Salka z komputerami zaczęła powoli zapełniać się ludźmi. Minęła dwudziesta. Usłyszał podjeżdżający samochód. Otworzyły się drzwi do restauracji. Na wózku inwalidzkim siedziała młoda atrakcyjna kobieta. Dwóch mężczyzn stało za wózkiem. Jeden z nich przytrzymał nogą drzwi. Kobieta się uśmiechała. Miała rudawe włosy, spięte w kok. Prawą dłoń nerwowo poprawiała fryzurę. W sali restauracyjnej zrobiło się małe zamieszanie. Niektórzy goście wstawali z krzeseł, aby zrobić drogę dla wózka inwalidzkiego. Jeden z mężczyzn pchających wózek powiedział głośno do starszej kobiety stojącej za barem:

- Natalia dzisiaj jak zwykle. Około dwudziestej drugiej przyjedziemy po nią.

Po chwili wózek zniknął w salce z komputerami.

Marcin wstał gwałtownie z miejsca. Wybiegł na parking i z piskiem opon ruszył w kierunku asfaltowej drogi prowadzącej do miasta.

Frankfurt nad Menem, 2003